

Przetom

Redaktor:

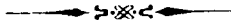
Dr. Witold Lewicki.

TREŚĆ:

<i>Dr. Witold Lewicki: Licytacje polityczne</i>	545
<i>Dr. Kazimierz Twardowski: Etyka wobec teoryi ewolucyi</i>	551
<i>X. Przeżyte—Odczute—Wydarzone</i>	564

Wychodzi co sobotę.

Cena kwartalnie 2 złr. 50 ct., numer pojedynczy 30 ct.



WIEDEN.

Skład główny we Wiedniu w księgarni Wilh. Frick, I. Graben Nr. 27
we Lwowie w księgarni Jakubowskiego & Zadurowicza
w Krakowie w księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

1895.

TREŚĆ dotychczas wydanych zeszytów:

- No. 1. Od redakcyi. — *Dr. T. Rutowski*: Ruch ludowy i stronnictwa narodowe. — *Ks. Dr. A. Kopyciński*: Rola księdza polskiego. — *Prof. A. Wachnianin*: Stronnictwa na Rusi halickiej. — *Prof. Dr. A. Sokółowski*: Uwagi krytyczne nad historią powstania styczniowego. I. — *Dr. Witold Lewicki*: Ad limina Apostolorum.
- No. 2 u. 3. *Stanisław Szczepanowski*: Racyonalizm narodowy. — *Dr. T. Rutowski*: Reforma wyborcza. — Budżet Królestwa Polskiego. I. — *Dr. Kazimierz Twardowski*: Fryderyk Nietzsche. — *Dr. Witold Lewicki*: Francesco Crispi. — *Jan Skrzydlewski*: O ruchu muzycznym we Wiedniu.
- No. 4. Przesilenie w Koalicyi. — *G. Smólski*: Czesko-słowiańska Wystawa etnograficzna. — Budżet Królestwa Polskiego. II. — *Roman Lewandowski*: Salon wiedeński.
- No. 5. Po upadku koalicyi. — *Ks. Dr. Adam Kopyciński*: Jednostka a społeczeństwo. — *Dr. Kazimierz Twardowski*: Monista mistyk. — *Zygmunt Bytkowski*: Maurycy Maeterliuck.
- No. 6. *Dr. Witold Lewicki*: Paszkwilantom. — *Dr. Tadeusz Rutowski*: Fabrykacya opinii krajowej. — *Antoni Fibich*: Ruch chłopski na Mazurach. — *Dr. Zofja D.*: Listy z Niemiec. I.
- No. 7. *St. Szczepanowski*: Sytuacya polityczna w Austryi. — *Dr. August Sokółowski*: Leliwa. — *Zygmunt Bytkowski*: Intérieur.
- No. 8. Dzień Cylei. — *T. R.*: Ministerstwo Madeyskiego. — *Dr. Kazimierz Twardowski*: Kultura etyczna. — *S. Z. Dański*: Kartka z życia umysłowego Poznania.
- No. 9. *Stanisław Szczepanowski*: Nowe kierunki w prasie „postępowej”. — *Dr. Witold Lewicki*: Stambułow. — *Dr. Anna Wyczółkowska*: O psychologii indywidualno-eksperymentalnej. — *Fraszki Rodocia*. — *Roman Lewandowski*: Dr. Oscar Bie i wystawy sztuk pięknych. — *M. Wierzbński*: Z salonu londyńskiego. — *Dr. Zofja D.*: Listy z Niemiec. II.
- No. 10. Pierwszy strzał. — *Jan Sawa*: Sen Jernaka. — *W. Gedrojć*: Wybory w Anglii. — *S. Z. D.* Listy z Niemiec. III.
- No. 11. *Stanisław Antoni Prus*: Do Redaktora „Przełomu”. — *Dr. Witold Lewicki*: Sejmiki prowincjonalne we Francyi. — *Dr. Kazimierz Twardowski*: Franciszek Brentano a historia filozofii. — *W. Lutosławski*: Tydzień na Oceanie Atlantyckim.
- No. 12. Konfederacya Rzeszowska. — *M. Wierzbński*: Prof. T. H. Huxley. — *W. Lutosławski*: Tydzień na Oceanie Atlantyckim. — *Ludwik Szczepański*: W ramkach z filigranu.
- No. 13. *Dr. Witold Lewicki*: Bańki mydlane. — *Prof. Ludwik Gimplowicz*: o sprawie polskiej. — *Stanisław Lewandowski*: Głodna sztuka. — *Karol Wróblewski*: Współczesne malarstwo angielskie. — *W.*: Skruczo.



→ Wiedeń, dnia 21. września 1895. ←



Licytacje polityczne.

Popierać ruch ludowy i pracować nad rozszerzeniem oświaty i dobrobytu tego ludu, działać dla ludu w kierunku podniesienia politycznego i narodowego, jest obowiązkiem prawego Polaka. Ale nie wynika z tego, żeby popierać akcją pierwszego lepszego fanatyka lub szarlatana, który się podszywa pod formę ruchu ludowego, zawiązuje komitety demokratyczne i pisze górnolotne programy. Już to podaż tego towaru była w ostatnich miesiącach istotnie wyższą, aniżeli zapotrzebowanie. Staralem się główniejsze z nich poddać oświeceniu krytycznemu i jak mi przyświadcza, w krytyce programu i arkanów działania konfederacyi rzeszowskiej nie omyliłem się bardzo. Atoli krytyka programów, chociażby najbardziej niedojrzałych, jest tylko jedną stroną działania. Drugą jest pozytywna praca nad zbliżeniem rozmaitych warstw wskutek niesumiennych poduszczeń wrogo naprzeciw siebie stojących. Praca ta więc musi być podjętą na dwie strony.

Musi stać na straży zgody stanów i najostrzejszymi środkami wszelkie usiłowania walki klas zwalczać, rzucane a już wschodzące ziarno niezgody i zawiści społecznej tępić, a w potępieniu tych nauk i ich apostołów nie można być dość energicznym i stanowczym. Musi najbezwzględniej dążyć do natychmiastowego usunięcia tych wszystkich zawad i zawalidrogów, przeszkadzających zbliżeniu warstw narodowych; w pierwszym rzędzie musi zwalczać zaślepieńców egoistycznych na wzór

jednego z mówców na Sejmiku relacyjnym szlachty przemyskiej, który z junkierską butą mówił o „pretensjach nauczycielstwa ludowego, których kraj nie zniesie“ i o „szkodliwości połączenia obszaru dworskiego z gminą włościańską“. Głos taki padł na zjeździe szlachty przemyskiej — nie od szlachty — na wstyd trzeba to wyznać, padł od reprezentanta inteligencji miejskiej. Z takimi głosami wieść należy zaciętą walkę, wykazywać przy każdej sposobności ich płytkość i egoizm i przestrzegać przed pomysłami egoistycznych ciasnych głów.

To mi polityka od Radomia do Przytyka!

Takiej polityki zaścianku prowadzić nam nie wolno.

Powiedziałem w jednym z ostatnich artykułów, że zadaniem najbliższego Sejmu musi być usunięcie wszelkich pozostałych jeszcze nierówności i uciążliwości w obowiązkach publicznych. W pierwszym rządzie paść musi ustawa drogowa, paść musi i druga baryera między gminą włościańską a obszarem dworskim starannie konserwowana ustawa gminna, musi być uchwaloną ustawa łowiecka i wiele ustaw, znoszących nierówności w ciężarach publicznych.

Wykonanie tego nie jest z pewnością rzeczą wygłoszenia programu, chociażby on był nawet tak radykalny i demokratyczny, jak program konfederacji rzeszowskiej.

Z programu przyjdzie naszym konfederatom tyle zysku, ile go w gębie odniosą. Wykonanie tych zamiarów jest rzeczą długiej, wytrwałej, przezornej i zapobiegliwej pracy w Sejmie i Radzie Państwa.

A to, że Sejm ostatni istotnie wkroczył na tę drogę i może nie tak szybko i nie tak wydatnie, jak mybyśmy sobie tego życzyli, ale zawsze z wielkim powodzeniem i z szeregiem rezultatów na tę drogę wstąpił, to dla nas jest nietylko otuchą w przyszłość, ale i usprawiedliwieniem, dlatego my nie chcemy, aby ta owocna praca porozumienia warstw przerwana była walką polityczną klas, lecz dążymy do stopniowego usuwania tych przeszkód dobrego porozumienia, które partya walki klasowej radaby zakonserwować.

Całe nasze usiłowanie — mówię o ludziach grupujących się około „Przełomu“ — zmierza do tego, aby tej pracy po-

jednania już rozpoczętej nie przerywać, lecz aby ją do jak najszybszego dokończenia doprowadzić. Naszym głównym argumentem — który pomimo szerokiej i gwałtownej z nami polemiki dotychczas nie został zbity — jest, że na tej drodze już są dodatnie rezultaty, a więc niema żadnej przyczyny, aby zejść z tej drogi i szukać nowej i zamiast działać jak dotąd na podstawie poczucia obywatelskiego, działać na podstawie walki klas.

Na tym stanowisku zawsze staliśmy i tak dobrze utrzymujemy to dziś, że nawet względy partyjne i względy osobiste usuwamy na drugi plan, tak iż jeżeli reformy społeczne mogą być przeprowadzone, tylko przez poparcie konserwatywnej większości naszych reprezentacyj ustawodawczych, to z góry rezygnujemy z zaszczytu inicjatywy i wolimy, ażeby reformy te przeprowadzili konserwatyści, byleby tylko były przeprowadzone, (chociażby nawet przeprowadzenie tych reform musiało za sobą pociągnąć wzmocnienie i moralne ugruntowanie partii konserwatywnej w kraju). Do tego przyłączymy się dla dobra narodu, przenosząc dokonanie reform z wzmocnieniem partii konserwatywnej, nad aureolę walki, otaczającą stronnictwo demokratyczne bez przeprowadzenia czegokolwiek.

* * *

Od dwu miesięcy w Galicyi wre. Dzienniki codzien ciekawe przynoszą szczegóły o „akcyi wyborczej“, nowe stronnictwa rodzą się jak grzyby po deszczu, przeróżni nieznani „ciarlatani“ rozwijają co chwila właśnie by nici na motowidle coraz to nowsze i tańsze programy, wszysej gęby mają pełne obietnic, idzie przez kraj wielka licytacja in plus.

Zły to rok powiadają, gdy wilk wilka kęszce. A oto dziennik niezadowolonych w Krakowie, „Nowa Reforma“, znalazł się w takim położeniu smutnem, że oto u siebie w domu, na własnych śmieciach i przez własnych zwolenników dotychczasowych został wyzwany do walki i został przelicytowany.

„Nowa Reforma“ od dłuższego już czasu straciła busołę i od lat przedstawia smutny widok łodzi, po rozburzonych falach bez steru się szamocącej. Nie wiem kogo „Nowa Reforma“

reprezentuje, ale od dłuższego czasu przestała reprezentować tych, którzy ją do życia powołali. Nastąpiły dziwne „zgodności opinii“ z organem radykałów polsko-ruskich, wzajemna admiracya i myśli wymiana, po której „N. Reforma“ wyszła zupełnie ogołoconą z myśli politycznej. Jakież to dawne czasy, kiedy „Reforma“ była kierującym organem stronnictwa demokracji narodowej. Życie przerzedziło szeregi jej redaktorów, a już dzisiaj tylko w tradycyi pozostaną te czasy, kiedy z jej łam padaly hasła naprawy ekonomicznej, kiedy Tadeusz Rutowski kierował polityką zagraniczną i działem ekonomicznym, kiedy Tadeusz Romanowicz pisał o reformie skarbu krajowego i przykładał rękę do utworzenia Sejmowej lewicy, kiedy Adam Asnyk prowadził fejteton i ze skarbeca swej wiedzy i poezyi rzucał perły, ułowione w głębiach najgorętszej miłości Ojczyzny. Niema Asnyka, niema Romanowicza, niema Rutowskiego. W „Reformie“ poczęły szastać się gnomy i liliputy, ogarniając swym lilipucim wzrokiem takie tylko świata koło, jakie tępemi zakreśla się oczy, „Reforma“ stała się salonem des refusés, z całą goryczą i żołącią, jaką taka atmosfera zwykła wytwarzać.

W bieżącej akcji wyborczej „N. Reforma“ dwuznaczną odegrała rolę, gdyż w fałszywej znalazła się pozycyi. Z jednej strony przyjmuje „N. Reforma“ pewne wnioski i wskazania, które wynikają z zasady solidarności narodowej, z drugiej strony sympatyą swą otaczała objawy wprost przeciw tej solidarności zwrócone i tym sposobem „N. Reforma“ bałamuci ludzi dobrej woli.

Bo ten, kto sobie z góry powiada, że dla niego przeprowadzenie pewnej zasady partyjnej jest ważniejsze aniżeli solidarność narodowa, ten rzecz stawia jasno; ten nie bałamuci nikogo; ale ci, co jak „Nowa Reforma“ chcą solidarności narodowej, a sympatyą swą otaczają objawy przeciw tej solidarności zwrócone, raz są za tworzeniem samodzielnych komitetów centralnych obok komitetów centralnych sejmowych, a potem uderzają na Dr. Juliusza Bandrowskiego i członków komitetu niezawisłego w Krakowie (jak to się w ubiegłym tygodniu stało) są jak ci, co strzyżą i golą. Zasady swe stosują według potrzeby i interesu osobistego.

Taki też zarzut komitet niezawisły cisnął „N. Reformie“. „Wy wasze zasady podporządkowywacie osobistościom“ — wołają krakowscy niezawiśli. „Nie jako żywo! przecież wyparliśmy się Szczepanowskiego, Rutowskiego i Lewickiego, wypieramy się „Przełomu“ i wszelkiego ducha złego“ odpowiada „N. Reforma“ i w Nr. 216 z piątku 20. września b. r. pisze jak następuje:

„Tak zwany (sic!) komitet niezawisły w piśmie (sic!) brukowym, wychodzącem w Krakowie, rozpoczął kampanią przeciw stronnictwu demokratycznemu. . . Komitet niezawisły zarzuca dziennikowi naszemu i stronnictwu „podporządkowywanie zasad osobistościom“. Zarzut ten świadczy, że niezawiśli nie mają zwyczaju liczyć się z faktami i kierują się wyłącznie niechęcią osobistą, której źródło aż nadto jest widoczne. Jeżeli dziennik i stronnictwo potępiło bardzo energicznie p. Szczepanowskiego za obronę stanu obłączenia w Pradze, p. Rutowskiego za jego niefortunny projekt reformy wyborczej, a obu wraz z p. Lewickim zwalcza i potępia za każde z zasadami demokracji niezgodne wystąpienie „Przełomu“, to chyba zarzut stawiania osób ponad zasady, nie może się ani na chwilę utrzymać.“

Najprzód jedna uwaga: Zarzutu niezawisłych „N. Reforma“ nietylko nie zbiła, ale nas w nim utwierdziła, z tego, że „N. Reforma“ potępiła Szczepanowskiego, Rutowskiego i mnie, nie wynika jeszcze, że nie stawia osób nad zasady, z tego tylko wynika, że nie stawia Szczepanowskiego, Rutowskiego i mnie nad zasadę doktryny demagogicznej. Jestto dla nas bardzo zaszczytne. Ale oprócz nas trzech są jeszcze inni, a mnie się zdaje, że niezawiśli z pewnością nie zarzucali „N. Reformie“, że z pominięciem zasad, gorąco ujmuje się za Szczepanowskim, Rutowskim i Lewickim, więc odpowiedź taka jest nielogiczną. Ale inna rzecz z twierdzeniem, że Szczepanowskiego, Rutowskiego i Lewickiego potępiło stronnictwo.

Które stronnictwo? Czy to stronnictwo, które „Nową Reformę“ zakładało? Czy to, które ją pisało i redagowało przez szereg pierwszych lat? Czy to stronnictwo, które wybiera jej Radę Zawiadowczą? Czy to stronnictwo, imieniem którego przemawiał Członek Wydziału krajowego na zebraniu lwowskim?

Mnie jest znane jedno stronnictwo lewicy sejmowej i proszę mi wykazać, gdzie i kiedy stronnictwo lewicy sejmowej potępiło naszą działalność poselską, lub publicystyczną? Dopóki tego dowodu „N. Reforma“ nie przeprowadzi, muszę uważać jej twierdzenie za bezpodstawne. Czekamy na dowody.

Nam się wydaje, że nasza polityka jest właśnie tą polityką, która lewicy sejmowej pozwoliła w ostatnich latach rozwinąć bardzo dodatnie działanie i była jednym z czynników dodatniej działalności Sejmu. Nam się zdaje, że my w tym samym duchu działamy i piszemy, w jakim mówił poseł Romanowicz, nam się zdaje, że lewica w tym duchu przystąpiła do wzięcia udziału w sejmowym Komitecie Centralnym i na tej podstawie uzyskała liczne zastępstwo inteligencji miejskiej w sejmowym Komitecie Centralnym.

Zaprawdę lewica sejmowa zyskała w Sejmie i w Kole Polskiem tyle na zaufaniu, ile go straciła w redakcyi „N. Reformy.“

Każde działanie polityczne jest ograniczone i może się tylko stopniowo rozwijać. Nie można wszystkiego naraz zrobić. To właśnie ograniczenie programu i zastosowanie programu do zmiennych okoliczności działania jest znamioną cechą zbiorowego politycznego działania. I to jest cała różnica między dyskusją polityczną, a dyskusją akademicką, że ta ostatnia obejmuje wszystkie żądania, a dyskusya polityczna tylko te, które w najbliższym okresie mogą się stać przedmiotem skutecznego działania.

Zatarg, w który wpadła „N. Reforma“ z niezawistymi demokratami w Krakowie, dowodzi, do czego to prowadzi wieczne licytowanie in plus bez względu na okoliczności. Dziś jedno jest tylko widoczne, że „N. Reforma“ się zgubiła i że siebie nie może odnaleźć. Niechże się szuka i oby się odnalazła! aby z nią nie było, jak z tym, o którym powiada Apokolypsa III. 15.

„Znam uczynki twoje, żeś nie jest ani zimny, ani gorący, i bodajżeś był zimny albo gorący!

A tak ponieważś letni, a ani zimny ani gorący, wypluję cię z ust moich.“

Witold Lewicki.

Etyka wobec teorii ewolucyi.

Teorya ewolucyi starsza jest od Karola Darwina. Zdanie, iż wszystkie gatunki i rodzaje jestestw organicznych, zaludniających w danej chwili ziemię, są czemś stałym, niezmiennym, że nie przeobrażają się jedne w drugie, zdanie to, bronione stanowczo przez Cuviera, podawali w wątpliwość niektórzy uczeni już w zeszłym wieku, a między nimi i dziadek Karola Darwina, Erazm, który w dziele „Zoonomia, or the laws of organic life“ (1794—98) postawił całkowity system pochodzenia rodzajów. Poglądami jego przejął się Jan Lamarck, jak o tem świadczy treść dzieła, wydanego pod tytułem „Zoologie philosophique“ (1809). Ale obydwaj ci uczeni nie wywarli wielkiego wpływu nawet wśród przyrodników. Nie zważano na ich pomysły, których nie zdołali uczynić prawdopodobnemi. Udało się to dopiero Karolowi Darwin. Jego dziełem i zasługą zatem nie jest rzucenie myśli o pochodzeniu rodzajów, lecz podanie hipotez, na podstawie których pochodzenie rodzajów z pomysłu staje się teorią, nad którą zastanawiać się trzeba, przyczem nie jest wcale wykluczonym, że hipotezy Karola Darwina okażą się — niektórzy twierdzą, że się już okazały — niedostatecznemi, aby obronić teoryi ewolucyi, i że pochodzenie rodzajów wypadnie tłumaczyć za pomocą innych hipotez.

Bądź co bądź, prace Karola Darwina sprawiły, iż teorya ewolucyi w naukach przyrodniczych stanowczo zwyciężyła; a ci przyrodnicy, którzy jak Weismann walczą przeciwko Darwinowi, nie przeczą bynajmniej ewolucyi, lecz uważają tylko sposób, w który ją Darwin tłumaczy, za niedostateczny.

Ale wpływ teoryi ewolucyi nie ograniczył się do samych nauk przyrodniczych. Sam Darwin zaczął ją stosować do świata umysłowego, a Herbert Spencer podał w swym systemie filozofii pierwszy samoistny pogląd na objawy życia duchowego ze stanowiska ewolucyjnego. Kierunek ten uwidocznił się najwyraźniej przedewszystkiem w psychologii; obok niej zaś

w żadnym dziale filozofii nie wywołał tyle nowych poglądów, co w etyce.

Twierdzono wprawdzie już dawniej, że przepisy moralne są rzeczą czczego konwenansu, lub wynikiem ustroju społecznego. Grecy sofisci i sceptycy chętnie się takim twierdzeniem popisywali, powołując się na różnorodność i zmienność zapatrywań etycznych u rozmaitych ludów i w rozmaitych epokach. Ale dopiero darwinizm umożliwił ujęcie tego poglądu w pewne formy naukowe, dopiero darwinizm pozwolił fakta, znane już starożytnym myślicielom, podporządkować pod prawa ogólniejsze, upatrując w tych faktach li tylko poszczególny objaw działającego w całym świecie prawa ewolucyi.

Nie dziwnego, że przerzucenie zasady ewolucyi na pole zapatrywań moralnych wywołało wiele wrzawy i niemało obawy. A więc, wołano, zmienność sądów o tem, co złe, a co dobre, ma być konieczną? Różnica między postępowaniem moralnem a niemoralnem ma być pozostać względna? Wszak wtedy wali się cała etyka, wtedy zatracą się wszelka norma działania i niewiadomo nam, co wypada czynić, a co zaniechać!

I nowy powstał wśród filozofów rozłam. Jedni i nadal twierdzą, że poczucie obowiązku, rozróżnienie złego i dobrego, popędy natury moralnej tkwią w ludzkości jako takiej, stanowiąc pierwiastek aprioryczny jej ustroju umysłowego. Drudzy głoszą naukę nową, wedle której sumienie, uczucia altruistyczne, przekonania etyczne są tak samo wynikiem doboru płciowego i innych czynników, powodujących ewolucyą, jak poszczególne organizacje zwierzęce. Moralną jest wedle nich każda czynność, która sprzyja utrzymaniu własnego życia i utrzymaniu rodzaju, do którego się należy, a równocześnie umożliwia taki stan rzeczy, wśród którego wymienione czynności poszczególnych osobników nie wchodzą ze sobą w kolizyą.

Każdemu więc stopniu rozwoju, na którym się w danej chwili znajduje pewna gromada istot, odpowiada inna etyka; albowiem szczepy ludzi dzikich wśród innych żyjąc warunków, aniżeli narody cywilizowane, muszą w inny sposób postępywać, chcąc zachować swój byt indywidualny i gromadny, jak ludy stojące na wyższym stopniu rozwoju. A my, którzy się szycimy posiadaniem etyki najwznioślejszej, etyki Chrystusowej, dlatego tylko uważamy ją za etykę prawdziwą, że nakazane przez nią czynności najlepiej odpowiadają warunkom naszej egzystencyi. Przyjdzie czas, a zdaniem niektórych czas ten już nadchodzi, gdzie etyka Chrystusowa będzie musiała ustąpić miejsca innej etyce, której przepisy lepiej od ewangelicznych będą licować z nowymi warunkami bytu, ku którym wiecznie

przeobrażający się świat i ludzkość dążą. Apostołowie tej nowej etyki żyją wśród nas, a dowodzi nimi Nietzsche.

Nie ulega wątpliwości, że fakt główny, na który się powołują zwolennicy tej etyki „względnej“ lub „progressyjnej“, fakt iż zapatrywania etyczne różne są u różnych narodów, i że nawet w ciągu czasu u tego samego narodu się zmieniają, istnieje. Są narody, u których zabijają starców i niedołęznych, u których ani kradzież, ani niewolnictwo nikomu nie sprawia wyrzutów sumienia. Etnologia i antropologia obfitują w tego rodzaju przykłady. Ale by się o tym fakcie przekonać, nie trzeba głębokich studyów i dalekich podróży. Wystarczy otworzyć oczy i spojrzeć wokoło siebie. Anarchista, przejęty swymi ideami, bez skrupułu ciska bombę wśród zgromadzenie ciała prawodawczego, i jest przekonany, iż spełnił czyn, za który przyszłe pokolenia będą głosić jego chwałę. Są i w Europie ludzie, którzy bez najmniejszego wahania się wyzyskują przykre położenie bliźniego, wzbogacając się jego pracą, a czyniwszy go wygórowanymi wymaganiami kaleką przed czasem, puszczają go na łup nędzy i śmierci głodowej. Niebrak i między ludźmi „porządny“ takich, co pozbawiają żonę i dzieci opiekuna i żywiciela, gdy nie są w stanie zapłacić kwoty przegranej w karty, albowiem „honor“ tak każe, a sumienie milczy. Jaka przepaść dzieli ich od tych, co tyle posiadają siły moralnej, by przebaczyć z serca temu, co ich obraża lub oszczerza, by zyskiem dzielić się sprawiedliwie z tymi, co mu do zysku dopomogli, by raczej chcieli być skrzywdzonymi, aniżeli krzywdzić innych? Zaiste niemiejsze wśród nas samych zachodzą sprzeczności w poglądach moralnych, jak między Anglikiem, pobożnie święcącym niedzielę i ludożerczynym murzynem. I gdzież tu szukać powszechnie obowiązującej i ogólnie uznanej normy etycznej? Gdzież prawo moralne, któreby kierowało ludzkością? Nic prócz indywidualnych upodobań, prócz zbiorowych, zwyczajem i tradycją, bądź narodową, bądź kastową uświęconych reguł postępowania, którym nie można się sprzeciwić, nie ściągając na siebie rozmaitych nieprzyjemności, i które się dlatego respektuje.

Oto konsekwencye, jakie zdaniem ewolucjonistów wynikają ze zestawienia ich teorii z faktami życia obyczajowego. A konsekwencye te doniosłe, nie tyle pod względem teoretycznym, ile z punktu widzenia praktycznego; albowiem równają się one w gruncie rzeczy anarchii etycznej. Komu nie przypadają do gustu przepisy moralne, wśród których się wychował i wyrósł, temu łatwo się przewidzi, że głosząc odmienne zdania moralne, staje się apostołem etyki przyszłości. I nie będzie się

uważał za występce, lecz za geniusza, a nie zabraknie mu ni zwolenników, ni teoryj, przygłuszających jego sumienie. Takie rzeczy zdarzają się co dzień.

Dylemat zdaje się nieunikniony: albo trzeba się rozstać z teorią ewolucyi, uważając ją za mylną, albo trzeba się zrzec etyki o sile obowiązującej wszystkich ludzi zarówno, uważając istnienie takiej etyki za przesąd i zabobon.

* * *

Spartańczykom sumienie mówiło, iż postępują dobrze, pozbywając się dzieci wątłych; nam sumienie mówi, iż każdy, który staje się świadomie przyczyną śmierci dziecka, postępuje źle. Oto sam fakt, bez domieszki jakiegokolwiek rozumowania. Jakie więc wnioski należy z tego faktu wysnuć? Nie chcąc sprawy przesądzać, trzeba być ostrożnym. Przytoczony fakt sam przez się nie nasuwa nam żadnych wniosków; możemy tylko, znając więcej takich faktów, ująć je w ogólne twierdzenie, że jeden i ten sam postępek przez jednych bywa uważany za zły, przez drugich za dobry. Ale i to ogólne twierdzenie nie może służyć za podstawę dla dalszych twierdzeń, gdyż mówiąc n. p. że zapatrywania etyczne są zmienne, że nie panuje co do nich zgoda powszechna, posługujemy się tylko innemi słowami, a powiadamy to samo. A więc sam fakt nie więcej nam nie mówi prócz tego, że ludzie na podstawie jakiejś władzy umysłowej, którą zwykle nazywają sumieniem lub poczuciem moralnem, sądzą o rozmaitych postępkach, nazywając je złemi lub dobrymi, i że sądy te między sobą nie są zgodne.

Trudno nie zauważyć analogicznego stanu rzeczy na innym polu życia umysłowego. Umysł estetyczny, poczucie piękna, jakie posiadają Chińczycy, upodobał sobie muzykę hałaśliwą bębnów i kołków, będącą postrachem dla ucha europejskiego. Europejczyk zaś upatruje szczyt piękności muzycznej w dziełach Bacha lub Beethovena, Mascagniego lub Wagnera, Rossiniego lub Mozarta; i w Europie panuje pod tym względem wielka różnica zdań. Ale widoczną jest analogia pomiędzy tymi faktami z estetyki i poprzednimi z etyki. Nie tylko gdy chodzi o moralność i zdrożność, lecz także gdy chodzi o piękność i brzydotę, ludzie wygłaszają sądy, opierając się na władzy umysłowej, nazywając ją w tem wypadku poczuciem pięknym, zmysłem lub gustem estetycznym, a o tej samej rzeczy mawia Chińczyk, że jest ładną, a Europejczyk, że jest brzydką.

Analogia między sądami etycznymi i estetycznymi jest tak wyraźną, że dawno już na nią zwrócono uwagę. A przytem

zwykle, choć nie zawsze przeoczono, że istnieje jeszcze jedno pole zjawisk, podpadające pod tę samą analogią. Obok przeciwieństwa między dobrem a złem, między pięknem a brzydkiem istnieje przeciwieństwo między prawdą a fałszem. Analogia jest zupełną. Spartańczyk uśmiercanie dzieci wątłych nazywał dobrem, my je uważamy za złe; Chińczyk swą muzykę mieni być ładną, my ją mamy za ohydną; Ptolemeusz swą teorią o ruchach ciał niebieskich uważał za prawdziwą, my ją piętnujemy jako błędną. I tu sądzymy na podstawie pewnej zdolności umysłowej, którą nazywamy rozumem; i tu o tem samym twierdzeniu jedni mówią, że jest prawdziwym, drudzy, że jest błędnem — na co chyba nie trzeba przytaczać więcej przykładów.

Obracamy się ciągle jeszcze w dziedzinie faktów. Skonstatowaliśmy trzy rodzaje faktów, między którymi ściśła zachodzi analogia. Po pierwsze ocenianie rzeczy ze stanowiska etycznego, na podstawie sumienia; po drugie ocenianie rzeczy ze stanowiska estetycznego na podstawie smaku, poczucia piękna; po trzecie ocenianie rzeczy ze stanowiska logicznego na podstawie rozumu. Każdy z tych trzech rodzajów oceniania obraca się między dwiema ostatecznościami: pierwszy między dobrem a złem, drugi między pięknem a brzydkiem, trzeci między prawdą a fałszem.

Nie trudno spostrzedz, że przeciwieństwa między prawdą i fałszem, między pięknem a brzydkiem, między złem a dobrem dają się przedstawić jako poszczególne rodzaje jednego ogólnego przeciwieństwa; jest niem przeciwieństwo między tem, co nazywamy słusznem, a tem, co nazywamy niesłusznem. Gdy ktoś twierdzi, że dwa razy dwa jest cztery, mówimy, że ma słuszość; gdy ktoś cieszy się widokiem pięknego obrazu, nazywamy jego upodobanie słusznem; gdy ktoś chce pomóc bliźniemu zostającemu w potrzebie, również uważamy jego postępowanie za słuszne. W pierwszym wypadku powodujemy się rozumem, w drugim smakiem estetycznym, a w trzecim wypadku sumieniem.

Przedstawiliśmy i wyświeciliśmy tak same nagie fakta, przystąpmy do wniosków, jakie ewolucyoniści z tych faktów wprowadzają.

* * *

Zwolennicy etyki ewolucyjnej, zmieniającej swe przykazania w miarę postępu, a zrzekającej się praw wszędzie i zawsze obowiązujących, rozumują w ten sposób: Każdy niemal naród uznaje inne zasady postępowania za słuszne; jest to

fakt, o którym nikt nie wątpi. Gdyby zaś istniały normy działania ogólnie, bez wyjątku wszystkich obowiązujące, byłyby też przez wszystkich uznawane jako takie. A więc takich norm, takich przepisów moralnych, którym by każdy powinien swe czynności podporządkowywać, niema.

W tem rozumowaniu tkwi błąd, którego wykryć nie trudno za pomocą analogii, wykazanej pomiędzy dziedziną naszych ocenień etycznych i logicznych, analogią zachodzącą między przeciwieństwem dobrego i złego z jednej, a prawdy i fałszu z drugiej strony. Wiadomo, że logika stawia reguły myślenia, przypisując im siłę obowiązującą wszystkich ludzi. Z pod przepisów logiki nie można się wyłamać, nie chcąc popaść w błąd. Otóż historia logiki uczy nas, że co do norm myślenia nie zawsze i nie wszędzie panowała i dotąd nie panuje zgoda. Franciszek Bacon inne dawał przepisy dla myślenia indukcyjnego, aniżeli John Stuart Mill. Czy ktokolwiek z tego stanu rzeczy wyprowadził już wniosek, iż nie istnieją normy myślenia logicznego, którym się każdy powinien poddawać? Bynajmniej; fakt ten, stanowiący ścisłą analogią do zmienności zasad etycznych, tłumaczono raczej w ten sposób, iż nie odrazu umysł ludzki zdołał odkryć i sformułować jasno i przekonująco normy, wedle których, myśląc logicznie, postępuje; przyczem ani na chwilę nie wątpiono, iż przyjdzie czas, w którym uda się te normy w sposób nie pozostawiający nic do życzenia wyłuszczyć. Ale ta zmienność zdań co do reguł myślenia logicznego nie ogranicza się tylko do logiki indukcyjnej. Istnieje dziś kierunek, który reguły wnioskowania, cały system sylogistyki, postawiony przez Arystotelesa, uważa za błędny i pragnie go zastąpić innym sposobem dowodzenia. Mamy więc w tym wypadku niezgodę, tyczącą się zasadniczych przepisów myślenia. I znowu się pytam, czy ktokolwiek z tego faktu, iż nie panuje zgoda co do ogólnie obowiązujących przepisów logicznych, wyprowadza wniosek, że takich przepisów zgoła niema? Bynajmniej. Owszem, z faktu, że nie zdołano wszystkich przekonać o słuszności pewnych przepisów, jedni wnioskują, że trzeba je lepiej uzasadnić, drudzy wnioskują, że trzeba prawdziwe, właściwe przepisy dopiero odkryć, sformułować. Ale tak jedni, jak i drudzy silnie są przekonani o istnieniu takich przepisów.

Był czas, w którym ludzkość nie znała logiki. W Iliadzie i Odysei niema wzmianki o regułach myślenia. A przecież bohaterowie i bohaterki Homera myśleli, a myśleć czasem błędzili, a czasem mieli słuszność. A chłop w XIX wieku, ba nawet dziecko siedmioletnie choćby najdzielniejszego filozofa

współczesnego tyle wiedza o logice, co synek Hektora, lub Hektor sam. A przecież i chłop i dziecko filozofa i Hektor myśleli i myślą, a nie zawsze myśli ich błędzą. Tylko że nie umieją ani sobie, ani innym zdać sprawę z tego, dlaczego czasem myśl ich trafna i prawdziwa, a czasem fałszywa i z prawdą niezgodna. A my wiemy dziś, że i Hektor i chłop i dziecko, gdy rozumując do słusznych dochodzą wyników, myśleć muszą wedle norm logicznych, wedle ogólnie obowiązujących przepisów logiki, ale że myślą tak bezwiednie, nie znając tych norm i przepisów. Wszak tylko mała stosunkowo garstka ludzi posiada wiadomości z logiki; a czyż ktokolwiek twierdzi na podstawie tego faktu, iż niema przepisów, którym każdy powinien i musi, chcąc dojść prawdy, podporządkowywać swe myślenie?

Więc nieznanomość powszechnie obowiązujących przepisów, albo brak zgody co do tych przepisów nie jest dowodem, iż przepisów takich zgoła niema. Jeżeli ten uważa taką normę za słuszną, inny inną, znakiem to tylko, iż ta gałąź wiedzy ludzkiej, która zajmuje się wykrywaniem i formułowaniem tych norm, nie jest jeszcze dostatecznie rozwiniętą, by posiadać wyniki wszechstronnie uzasadnione, ostatecznie ustalone. Odnosi się to tak do logiki, jak do etyki. Jeżeli bowiem pewne reguły postępowania nie są przez wszystkich uznawane, przyczynę takiego stanu rzeczy należy na podstawie wykazanej analogii szukać w tych samych okolicznościach, które stan taki spowodowały i powodują w dziedzinie logiki. Jeżeli brak powszechnie uznanych przepisów myślenia pochodzi nie z tego, że takich przepisów niema, lecz z tego, że nauka, trudniąca się stawianiem tych przepisów, a więc logika, niedość jeszcze jest rozwiniętą, by przepisy takie podawać, wtedy brak powszechnie uznanych przepisów moralnych najoczywściej tem się tłumaczy, że etyka mająca na celu formułowanie takich przepisów, nie jest jeszcze tak rozwiniętą, aby sprostać swemu zadaniu.

Wnioski zatem, wyprowadzane przez ewolucjonistów ze zmienności i różności oceniania moralnego są błędne; albowiem gdyby były słuszne, odnosiłyby się również do oceniania logicznego, rozróżniającego między prawdą a fałszem, a wtedy prowadziłyby do zupełnego zwątpienia, odsądzając ludzkość od zdolności rozróżniania tego, co rzeczywiście jest prawdziwem od tego, co rzeczywiście jest błędnem. Nie brak wprawdzie zwolenników teorii ewolucyjnej, którzy w podobny sposób, jak do zapatrywań etycznych, stosują tę teorią do zdań teoretycznych, głosząc naukę „względnej“ prawdy. Ale tym sposobem tracą

grunt pod nogami. Jeżeli bowiem wszystkie prawdy są względne, wtedy i to jest względną tylko prawda, że wszystkie prawdy są względne. A wtedy trudno twierdzić stanowczo, że prawda jest względna i nic innego nie pozostaje, jak albo nawrócić się do prawdy bezwzględnej, albo zrzec się jakiegokolwiek twierdzenia. Albo cóż ma znaczyć n. p. takie twierdzenie, iż względna jest tylko prawda, jakoby dwa razy dwa były cztery? Czy mogą kiedyś nastać czasy, w których ludzkość dojdzie do przekonania, że twierdzenie to nie jest absolutnie prawdziwym? Czy mogą istnieć inne istoty, dajmy na to na Jowiszu, które byłyby zdania, że dwa razy dwa jest pięć? A gdyby takie istoty istniały, czy nie mówilibyśmy wtedy słusznie zupełnie, że ich zdanie jest błędem? Zaiste trudno zdać sobie sprawę z tego, co to są te „względne“ prawdy.

Dotąd więc ewolucyoniści nie byli jeszcze w stanie wykazać, że niema powszechnie obowiązujących przepisów moralnych; a fakta, na które się powołują, wykazują tylko, że etyka naukowa dotąd nie była w stanie przepisy moralne podawać i stawiać w sposób niewątpliwy.

Ale ewolucyoniści nie dają za wygrane. Widząc, że argument wzięty ze zmienności i różności norm moralnych do celu nie prowadzi, inny przytaczają argument, i to argument wcale poważny, któremu niemało zawdzięczają zwolenników. Wskazują mianowicie na fakt, iż w dziedzinie przekonań teoretycznych istnieją t. zw. pewniki, zdania, które każdy, co je zna, uznaje za słuszne. Takim pewnikiem jest n. p. twierdzenie, iż część jest mniejszą od całości. Na polu orzeczeń treści moralnej, mówią, brak takich pewników; niema im w dziedzinie etyki nic równego. W to, że część jest mniejszą od całości, uwierzy i najdzikszy i najmniej cywilizowany człowiek; pod tym względem można liczyć na zgodę powszechną ludzi najrozmaitszych narodów i czasów. Tego zaś, że trzeba kochać bliźniego jak siebie samego, lub że nie trzeba innym czynić, o czym się nie chce, żeby nam czyniono, mała tylko część ludzkości jest przekonaną, a przepis ten co do swej siły przekonującej nie może się równać z pewnikami.

Argument to, który niepodobna lekceważyć. Opiera się na fakcie podobnym temu, który służył za podstawę pierwszemu argumentowi. Tenże powoływał się na brak zgody co do przepisów moralnych; niniejszy zaś wskazuje na brak zgody powszechnej co do zasadniczych twierdzeń natury etycznej, przeciwstawiając tej niezgodzie zgodę, jaka panuje w uznawaniu pewników teoretycznych. Tym sposobem argument ten nie za-

graża tylko sam z siebie możliwości etyki bezwzględnej, ale niweczy analogią między logiką i etyką, która to analogia służyła nam do odparcia pierwszego argumentu. I cóż wobec tego czynić wypada?

Trzeba przedewszystkiem, tak, jakeśmy to uczynili wobec poprzedniego argumentu, zdać sobie sprawę z samego faktu i wyświecić go dokładnie. Ewolucyoniści powołują się na fakt, że każdy człowiek, bez wyjątku uznaje prawdę twierdzenia, iż część jest mniejszą od całości. Otóż należy zwrócić uwagę na to, że fakt ten w powyższy sposób nie jest dokładnie przedstawiony. Jeżeli zwrócę się do murzyna ze środkowej Afryki, lub do dziecka i powiem mu oczywiście w zrozumiałym dla niego języku, że część jest mniejszą od całości, ni dziecko, ni murzyn mnie nie zrozumieją. Nie przywykli bowiem do myślenia za pomocą oderwanych pojęć. Na to, by murzyn i dziecko uznali to, co mówię, za prawdę, trzeba najprzód uprzętać przeszkody, które nie pozwalają ich umysłom pojąć tego co słyszą. U murzyna dorosłego nie trudne to zadanie. Za pomocą kilku przykładów pouczę go o tem, co należy zrozumieć pod częścią, a co pod całością, a murzyn, wyrobiwszy w sobie odpowiednie pojęcia, wkrótce mi przyzna słuszność i uwierzy, że część jest rzeczywiście mniejszą od całości. Trudniejszą atoli jest sprawa z dzieckiem n. p. pięcioletniem. Niema sposobu wytłómaczyć mu pojęcie oderwane całości, a po kilku bezowocnych próbach damy mu spokój, pocieszając się tem, iż gdy dorośnie i umysłowo się rozwinie, łatwo się przekona o prawdziwości rzeczonego pewnika. U dziecka więc nie jesteśmy w stanie usunąć przeszkody, które mu nie pozwalają uznać, iż część jest mniejszą od całości.

A zatem fakt, na którym ewolucyoniści opierają swój drugi argument, po dokładnem zbadaniu przedstawia się w ten sposób, iż nie każdy człowiek bezwarunkowo uznaje prawdy, nazwane pewnikami, lecz tylko ten, w którego umyśle niema przeszkód uniemożliwiających takie uznanie. Nie wszyscy więc uznają, że część jest mniejszą od całości, lecz ci tylko, którzy umysłowo stoją na pewnym stopniu rozwoju. Dodanie tego zastrzeżenia może się wyda drobnostką, a zwrócenie uwagi na ten warunek, pod którym uznanie pewników następuje, niejeden może nazwie pedanterią scholastyczną — ale jeżeli gdziekolwiek pedanterya nie jest tylko dozwoloną, lecz nakazaną, to w filozofii, albowiem: „*minus error in principio, maximus in fine*“.

Jeżeli pamiętamy o tym warunku, który musi być spełniony w celu utorowania drogi dla uznania pewnika, wtedy

i drugi argument ewolucjonistów traci swą siłę, którą zawdzięczał jedynie eskamotowaniu tego drobnego na pozór szczegółu, ale stanowiącego ważną część faktu, o który chodzi. Albowiem ten warunek przywraca znowu zupełną analogią między sądami teoretycznymi, a ocenianiem moralnem, analogią, która zdawała się zakłóconą faktem, niedokładnie przez ewolucjonistów opisanym. Trudno nie spostrzedz, że i pewniki treści etycznej również wtedy tylko mogą liczyć na uznanie, jeżeli przeszkody ku temu, tkwiące w nas samych, zostaną usunięte. A jeżeli w dziedzinie rozróżniania między prawdą a fałszem przeszkodę tę stanowił brak odpowiednich pojęć oderwanych, na polu rozróżniania złego i dobrego przeszkodą tą jest brak odpowiednich uczuć. A ponieważ bez porównania trudniejszą jest rzeczą, wzbudzić go w kimś uczucia, których dotąd nie posiada, aniżeli skłonić go do wytworzenia pewnych pojęć oderwanych, więc prosty stąd wniosek, iż trudniej o uznanie pewników etycznych, aniżeli teoretycznych. Koniecznie potrzebna jest pewna dojrzałość umysłowa, by uznano jako słuszne zasadnicze wymagania etyczne. Człowiek nie wykształcony i dziecko przyjmują twierdzenia, których nie są w stanie pojąć, na podstawie powagi tego, który te twierdzenia wypowiada; a przykazania moralne także muszą się opierać na powadze tego, który je wygłasza, jak długo człowiek nie jest jeszcze dość wyrobionym, by na podstawie odpowiednich uczuć z własnego popędu uznawał słuszność podawanych mu pewników, stanowiących zasady postępowania moralnego. Kształcenie rozumu ma na celu przysparzanie pojęć potrzebnych do uznawania pewnych zasadniczych prawd, i nauczanie środków ku wyprowadzaniu nieznanych jeszcze prawd na podstawie prawd zasadniczych; kształcenie zaś charakteru, zbyt zaniedbane, dąży do wyrabiania uczuć potrzebnych, do uznania zasad moralnych i do wyprowadzania z tych zasad reguł postępowania w zastosowaniu do chwilowej potrzeby i do okoliczności każdorazowych. Kształcenie charakterów jest o wiele trudniejszym, niż kształcenie rozumu; dlatego zasady teoretyczne przez więcej ludzi bywają uznawane, niż zasady etyczne; dlatego więcej mamy ludzi mądrych, niż moralnych, a uczoność bywa więcej sławioną niż uczciwość — niestety!

Ze zaś przeszkody, uniemożliwiające uznanie zasad etycznych, są rzeczywiście większe, aniżeli przeszkody przeciwdziałające uznaniu pewników teoretycznych, dowodzi sposób, w który się rozwija każde dziecko. Nie potrzebują się nad tem szeroko rozwodzić, że dziecko o wiele wcześniej sobie przyswaja pojęcia oderwane, jak uczucia, prowadzące je do uznania zasad

moralnych. Ileż to trzeba czasu, by wyrobić w człowieku uczucie wdzięczności, a iluż jest ludzi, którzy przez cały przeciąg życia swego uczucia wdzięczności nie są w stanie w sobie wyrobić. Czy należy się więc dziwić, że tacy ludzie nie uznają najoczywistszych zasad etycznych? A ponieważ, jak uczą nauki przyrodnicze, rozwój każdej jednostki jest odzwierciedleniem rozwoju całego rodzaju, do którego jednostka należy, więc łatwo zrozumieć, dlaczego ludzkość cała, która pod względem rozwoju rozumu stoi stosunkowo dość wysoko, pod względem rozwoju uczuć moralnych tyle jeszcze pozostawia do życzenia. Nie może być inaczej, gdyż widzimy, jak u każdego pojedynczego człowieka rozwój intelektualny wyprzedza znacznie rozwój etyczny.

* * *

Powtórzmy w krótkości nasze rozumowanie. Ewolucyoniści, by dowieść, iż niema ogólnie i zawsze obowiązujących przepisów etycznych, powołują się na dwa rzędy faktów. Po pierwsze, mówią, niema zgoda zgody co do przepisów i reguł etycznych; każdy naród innego pod tym względem jest zdania. Ale wykazałem, że brak zgody co do odpowiedzi, którą wypada dać na jakąś kwestyą, nie jest dowodem, iż odpowiedzi takiej niema, lecz wskazuje jedynie, iż odpowiedzi prawdziwej nie znamy, lub innych o jej prawdziwości przekonać nie umiemy. Jeżeli zapytamy się uczonych, jaka jest ilość gwiazd na niebie, lub jakie były pierwotne siedziby ludów aryjskich, usłyszymy odpowiedzi najrozmaitsze; ale nie dlatego, jakoby liczba gwiazd była nieokreśloną, lub jakoby pierwotne siedziby naszych praocjów były ni tu, ni tam, lecz dlatego, że nauka i środki badania niedość jeszcze rozwinięte, by dać odpowiedź w sposób przekonujący. Odpowiedź istnieje i jedna jedyna odpowiedź tylko jest prawdziwą; ale my tej odpowiedzi jeszcze nie znamy. A więc brak zgody powszechnej co do prawd moralnych bynajmniej nie może służyć za dowód, iż prawd takich niema.

Drugim faktem, na który powołują się etyczni ewolucyoniści, jest ta okoliczność, że niema rzekomo na polu etyki pewników, któreby przez każdego uznawane, mogły służyć za podstawę do wyprowadzania poszczególnych przepisów postępowania. Ale przekonaliśmy się, że nawet pewniki teoretyczne nie bywają uznawane bezwarunkowo, lecz wtedy tylko, gdy pewne przeszkody, uniemożliwiające to uznanie, zostaną usunięte. Przeszkodą tą w dziedzinie pewników teoretycznych, brak pojęć oderwanych, a więc nie rozwinięty dosyć rozum;

na polu pewników etycznych przeszkodę stanowi brak pewnych uczuć, a więc niedostatecznie rozwinięte sumienie. A ponieważ trudniej wszczepiać uczucia, aniżeli wywoływać pojęcia oderwane, ponieważ rozwój sumienia więcej wymaga czasu, aniżeli rozwój rozumu, więc łatwo pojąć, dlaczego liczba uznanych pewników i liczba tych, co je uznawają, jest o tyle mniejszą, co do twierdzeń treści moralnej, jak wobec twierdzeń teoretycznych.

Tym sposobem dylemat między teorią ewolucyi a etyką bezwzględną rozwiązany. Nikt się nie rodzi z gotowym systemem etyki, tak samo jak nikt nie przychodzi na świat z gotowym systemem logiki w głowie. Ale każdy człowiek jest obdarzony zarodkami rozumu i sumienia. A od otoczenia, od warunków bytu jego, od najrozmaitszych okoliczności zawisło, czy i do jakiego stopnia zarodki te zostają rozwinięte. Im więcej ludzkość i każdy jej osobnik postępuje na drodze tego rozwoju, tem większy będzie zasób prawd tak teoretycznych, jak moralnych, które uzna.

A więc sprzeczności między teorią ewolucyi a etyką bezwzględną, zgoła niema. Przeciwnie; teoria ewolucyi tłumaczy wybornie, dlaczego etyka bezwzględna, skoro istnieje, nie zawsze i nie wszędzie bywa uznawana. Błąd ewolucyjnej etyki tkwi w tem, iż każe ona się rozwijać prawdom moralnym, co jest niedorzecznem; albowiem prawda każda jest zawsze ta sama, nie zmienia się i nie rozwija się. Jeżeli jest prawdą, że Mickiewicz się urodził w 1798 r., jeżeli jest prawdą, że bliźniego trzeba kochać, jeżeli jest prawdą, że symfonie Beethovena są piękne, wtedy prawdy te są zawsze i wszędzie prawdami. Nie prawdy przechodzą kolejno rozmaite stopnie rozwoju, tak że to, co dziś jest prawdą, jutro by się mogło przeobrazić w inną prawdę, lecz ludzkość się przeobraża, rozwija pod względem rozumu i sumienia i smaku estetycznego, i dlatego pozbywa się coraz więcej błędów, a dochodzi do odkrycia coraz nowych, nieznanych jej dotąd prawd wiekuiowych. A w tym samym stopniu postępują i nauki, trudniące się odkrywaniem, formułowaniem i uzasadnianiem tych prawd. Ludzkość podlega prawom ewolucyi, jej dzieła podlegają im również; ale ewolucyi przenigdy nie można stosować do rzeczy, które od ludzkości są niezawisłe. Gdyby bowiem nie istniała ludzkość, ni coś do niej podobnego, niemniej przez to byłoby prawdą, że dwa razy dwa jest cztery, lub że trzeba kochać bliźniego. Tylko że wtedy prawdy te nie zostałyby wypowiedane i nie znalazłyby w praktyce zastosowania.

Cała ta etyka ewolucyjna nowy nam dostarcza dowód, jak pobieżnie postępują przyrodnicy, gdy zaczynają filozofować; a jeżeli trzeba jeszcze osobnego argumentu na to, że filozofia ma rację bytu nawet wobec olbrzymiego postępu nauk przyrodniczych, któremi niektórzy pragną filozofią zastąpić, jako argument taki służyć mogą wyniki niniejszego roztrząsania. Nikt bowiem naukom przyrodniczym nie zaprzeczy ani ich doniosłości, ani wysokiego stopnia rozwoju, na którym się obecnie znajdują. Ale wobec tego tem więcej potrzeba nam filozofii, by nie przestała głosić starą prawdę: „Ne sutor ultra crepidam“.

Dr. Kazimierz Twardowski.



Przeżyte — Odczute — Wydarzone.

„O my-li moja twórcza! gdzie tobie iść w drogę?
„Ojczyzna cię zakłęła na zawsze w swe koł...”

Ujejski.

Istnieją!

Po kilkugodzinnej rozmowie z prokuratorem i z oficerami żandarmeryi, znieczepliwiona natarczywością badań, zmęczona natężeniem uwagi, z jakim odpowiadać należało na podstępne i przebiegłe pytania, usłyszałam nareszcie, że odesłaną zostanie do więzienia.

Akt oskarżenia, który podpisać mi kazano, opiewał, że winną jestem „uporczywego milczenia, oraz kłamliwych zeznań“ i jako taka, ukaraną być muszę pozbawieniem swobody! Sprawdzono tedy karetę i dwu tak ogromnych żandarmów, że każdy z nich zmocowałby mnie jednym dotknięciem palca, wsiadło do niej wraz ze mną, by straż trzymać nad uwięzioną w podróży.

Nie była długa. Nieopodal od miasta, minawszy siedziby ludzkie, a potem ciche zmarłych leże, wśród obszernego stepowego rozłogu, wznosił się obszerny, świeżo do użytku oddany gmach więzienny, urządzony — jak mówiono — według wszystkich wymagań ludzkości i higieny, a nie wiem, czy przez ironię, czy przez skojarzenie pojęć, zbudowany w kształt krzyża . . .

Wiedziałam, że pełen jest teraz więźniów, jak ja pokutujących za zbyt wierną przeszłości pamięć i ukochania zbyt gorące, pomimo to jednak, znalazło się tu miejsce i dla mnie. Prawdę mówiąc, niekoniecznie z tego byłam rada . . . Duch bowiem jest ochoczy, ale ciało mdłym bywa, szczególnie, gdy się w niem kołace serce macierzyńskie, o bezpieczeństwo dzieci drżące . . .

Gdy jednak ustąpiła najpoważniejsza obawy przyczyna, o siebie już tylko troszczyć się potrzebując, poczęłam myśleć

o tem, by sobie — na przydłuższy zapewne pobyt — urządzić możliwie znośne istnienie w tej klatce z czerwonej cegły, przeznaczonej nie tyle na przybytek dla dusz, nadziejami zbyt lotnych, ile na gospodę dla ciał, przez dusz uspienie oddanych pod władzę najniższego rzędu instynktów . . .

Przedewszystkiem, poprosiłam o przeniesienie mnie na górne piętro, gdzie z cel, na pole wychodzących, widzieć można było ludzi, ruch, pracę, życie, jednym słowem, cały światek małeńki. Uczyniono zadość memu żądaniu, a że w tych dniach właśnie wypuszczoną została na wolność jedna z więzionych tutaj „Dusz Ognistych“, po niej więc zajęłam mieszkanie.

Cela czysta była i schludna, w dniu pogodne cała promieniami słonecznymi wyłożona. Jak wszystkie, zakratowane miała okno, a za kratą pochyły nieco, w głęboką wciśnięty framugę, blachą wyłożony okap, na który poprzedniczka moja okrucy rzuciła dla wróbli.

Przywykły więc ptaszęta zlatywać się tu gromadnie i pomimo zmiany gospodni — co zresztą nie wiem, czy spostrzegły — stół zawsze zastawionym znajdując, przybywały liczną rzeszą i obsiadały go z radosną wrzawą zgłodniałych, a pewnych sutego poczęstunku biesiadników. Nasyciwszy się, poczyniły radzić o domowych i osobistych swoich sprawach, co czyniły nader gwarnie, a nawet nieco swarliwie, dopomagając wymowie głosów nader ożywioną mimiką. Trzepotały się, przebierały nóżkami, wydymały gardziółka, szeroko rozstawiały skrzydełka, a co przytem było kręcenia główkami, co zerkania na wszystkie strony, tego już nawet i opisać niepodobna!

Czasem nawet, w zapale rozprawy, tej i owej ptaszynie dzióbkiem się dostało po łebku, czasem poczuły się na dobre dwa zapalczywsze wróbelki, bo prostaczy był to nasadek i etykietę wszelką za nie miał sobie, ale niefrasobliwy był, rezolutny, życiem kipiący, swobodą — jak bijącym do głowy winem — w stanie ciągłego podniecenia utrzymywany.

Z drugiej znów strony, za drzwiami z celi prowadzącemi na korytarz, w karby nieubłaganego regulaminu ujęte, ścieśnionym torem szło życie. Niemile przypominał mi to dzwonek! Natarczywy, rozkazujący, budził do pracy, zwoływał do posiłku, obwieszczał godzinę spoczynku, a chociaż mnie — jako „politycznej“ — w niczem bynajmniej nie obowiązywał, niemniej jednak wyobrażał mi przymus i nakaz, dwie postacie tyrańskie, przeciwko którym cała moja istota bunt podnosi . . .

I tu wszakże wesoło bywało niekiedy, i tu radować się mogło ucho swobodnym odgłosem życia, gdy drobiazg jednego z dozorców wybiegł harcować na korytarze, napelniając je

gamą srebrzystego śmiechu i odgłosami tupotania nie wprawnych jeszcze do biegu malutkich nóżek . . .

A wtedy, słysząc z jednej strony szczebiot dziecięcy, z drugiej świegoty ptasząt, każdej chwili do odlotu gotowych, wiedziałam — chociaż w murach więziennych zamknięta — że Młodość i odwieczna jej kochanka, Wolność, istnieją jeszcze na świecie!

I przeżyłam tak długich, smutnych miesięcy kilka, broniąc się tęsknocie i zniechęceniu, krzepiąc się na duchu tą wiarą, że istnieją!

Zwyciężyła!

Stanąwszy na stołku, aby zrównać się twarzą z szybami umieszczonego pod sufitem okna, przez kratę ciasnej i głębokiej framugi puściłam wzrok na swobodę.

Z okna pierwszopiętrowej celi widać było przedewszystkiem mur, okalający podwórca więzienne: szarą miał ścianę, szczyt biały, ale podobnych temu grobowców pobielanych i na świecie niemało zobaczyć można! Poza tym murem, stepowe pole od dżdżów zimowych rozmiękłe, wiatrak, dziś nieruchomo olbrzymiami śmigami sterczący, dalej osada jakaś ludzka: domy, chaty, budynki gospodarskie, sterty, drzew kępy, mizernie na jałowym gruncie wyrosłe . . . Kędyś, niedaleko, musiało tam być i morze, bo gdy nocą hulał wicher po stepie, to wśród świstu jego i wycia, zdawało mi się słyszeć głuche fal poryki i szum bałwanów miotanych na wybrzeże, ale z punktu, z którego patrzyłam zupełnie niewidzialne, nie mogło się przyczynić do urozmaicenia krajobrazu. Nie przemawiał mi też on niczem do serca, ani do wyobraźni, a ludzie tutejsi, zarówno jak i zabieg ich pracy, byli mi jak najzupełniej obojętni . . .

Nie miałam więc na co patrzeć i wzrok, widoku ruchu i życia spragniony, przeniosłam z ziemi na niebo.

I tu nie lepiej było!

Ramy okna szczupły obejmowały widnokrąg, ale i ten, jak okiem zasięgnąć mogłam, cały chmurami był zasuty. Ciężkie, szare, w jeden bezkształtny kłęb zgęszczone, nieprzebitą związające oponą, szły na podbój światła, nie przez wichry pędzoną czarnych smoków falangą, lecz bezbarwnym, szeroko roztoczonym, a leniwie pełzającym wałem, którego martwa, jednostajna szarość widomie przeczyła wszystkiemu, co jest szczerą światła jasnością i barw tęczowym rozbłyskiem.

Nibyto nieruchome, a ciągle posuwające się naprzód, nibyto zawsze jednakowe, a coraz to przecie innymi, niewyraźnie majające, kształtami, zmierzały chmur gromady w jedną stronę i tam, na skraju nieboskłona, zdawały się rzednąć, rozstępować, przeświecać niepewną jakąś jasnością, braskiem tak jeszcze mdłym i nikłym, że tylko przez porównanie z chmurnem tłem widnokregu jasnością nazwać go można było.

„Jeżeli ten brzask nie grą światła jest zwodniczą, lecz światłością prawdziwą, to zwycięży . . .“ pomyślałam, pomna na prastary dogmat zendzki, który w odwiecznej walce Ormuzda z Arymanem Ormuzdowi ostateczne zwycięztwo przyrzeka.

Czy zwycięży? Chmury coraz fałdzistszą zwisają oponą, coraz ociążalszymi suną kłębami, coraz gęstszym ścielą się po niebie całunem . . . Taka niewyraźna, taka słabiuchna i zdławiona . . . czy zwycięży, czy przemoc ciemności pokona?

I uczyniwszy z niej sobie upostaciowanie tego ideału, co Prawdą będąc i Sprawiedliwością, przez to samo za jedno jest ze Światłem, z ciągle wzrastającym zajęciem śledzić poczęłam koleje tej nierównej walki, jaką z chmur natarciem toczyła. Z początku broniła się jedynie. Słaba, lecz nie słabnąca, trwała tylko . . . ale trwała — i wtedy to: „Światłością jest prawdziwą! — pomyślałam — zwycięży!“

Potem, samem trwaniem istnienie sobie zapewniwszy, wzmacniać się z wolna poczęła i coraz wyraźniejszą smugą znaczyć się już na niebie. Chmur nie ubywało przecie wcale. Wciąż w jednakowej zdawały się napływać ilości, tylko — jakby zdumione widokiem przeciwnika, którego już na wieki pokonanym być mniemały — zatrzymywały się w niejakiem od świetlanej smugi oddaleniu i piętrzyły się w szaniec, z każdą chwilą czerniejący. Przez niewidzialnych zwołane wysłańców, coraz szybciej nadciągały mu z przestworza posiłki; rósł, potężniał, objętości nabierał i mocy, za warownię geniuszowi ciemności mógł już służyć!

A smuga świetlna, nieustraszona gotującym się na nią napadem, zyskiwała na powierzchni i na mocy, coraz jaskrawszymi od tła chmur odcinała się zarysami, coraz widziej stwierdzała sobą istnienie ukrytego kędyś źródłiska wielkiej, przepotężnej, życiotwórczej światłości, której ona zwiastunką tylko była i przednią strażą . . .

Że zwyciężką — tego już pewną byłam, choć tak drobną widziałam ją jeszcze wobec ogromu czyhającego nań wroga!

Wtem . . . zakłębiło się, zaszumiało, zamroczyło i spiętrzony chmur szaniec, przez wichry skądsis nadbiegłe po-

pchnięty, runął w oka mgnieniu, waląc się całym ogromem na tę, w której zwycięztwie uosobiłam dziejowego Ormuzda!

Stało się to tak nagle, dokonało z tak żywiołową mocą, a ludzką niemal zjadłością, porażka światła tak się zdawała zupełną, tak niepowetowaną, taką mroku żalobą pokrył się przytem świat cały, że zdjęta przykrem wrażeniem, spuściłam oczy, aby im oszczędzić widoku tego, co w podnieconej wyobraźni morderstwem mi się prawie wydawało...

Ale, gdym je znowu podniosła, potwór ciemności — zamiast spokojnie olbrzymiem zaledz cielskiem pole bitwy, przewagę siły zdobyte — miotał się po niem i kłębił, jakby wewnątrznymi wstrzasany podrzutami.

Dlaczego? Zwycięztwo przecie odniósł zupełne: świetlanej smugi i śladu już nie zostało! Ormuzd ustąpił przed Arymanem.. Nieraz to już i w dziejach widziałam — i w życiu!

Dopiero, gdym uważniej spojrzała, dostrzegłam, że z poza czarnego chmur kłęba wyzierać poczyna wąziutki jasności rąbek...

— A bywaj-że, a bywaj! A witaj-że, gościu błogosławiony! — krzyknęłam w duszy, wstydząc się już zwątpienia, które mną owładło przed chwilą — a rosnij-że mi, a zwyciężaj, a prędko!

I oczu już z rąbka nie spuszczać, patrzyłam, jak z początku nicia tylko złota obrzeżał zwycięzkie, przywalające go ciemności brzemie. Nic ta zwolna się rozszerzała i nieznacznie, aż wreszcie we wspaniałą zmienioną wstęgę, całą z blasku utkaną, skrętów swoich bogactwem oplotła i spętała olbrzymą, rozpanoszonego przed chwilą pogromcę. A! jak on się teraz kureczy, jak w oczach rozpada się i maleje, jak w tym samym przestworze podniebnym — skąd niedawno sojuszników sobie zwolywał, z nim razem na światła zagubę przysięgłych — rozprasza się kędyś bez śladu!..

A wstęga świetlana, teraz już Swiatłość sama, potokami jasności go zalewa, strzałami promieni rwie na strzępy, ogniami swymi je trawi, pochłania, unicestwia, bo światu ona a teraz króluje. Ona chwilę tryumfu święci!

Zwyciężyła!

Nie bojowego gwałtu przemocą, nie chytrego podstępnu zasadzką, lecz zawartym w niej pierwiastkiem Słuszności i Życia— zwyciężyła!

Hosanna! Zwyciężyła!

A w dziejach czy zwycięży także?

Ach! czy zwycięży?..

Mów!

Witaj mi, słońce!

Nie widziałam cię, gdys z za morza wschodziło, lecz jesteś oto . . . Z bielonych ścian celi czynisz mi klatkę złotych promieni i wiem, że wyżej się wzbiwszy, napotkasz kraj biela brzoź wyswieżony, jarzębin koralami osypany, od niezapominajek i bławatków modry cały, od kwiecia lip cały miodem woniejący. Rodzinna to moja ziemia! Kołysała mnie tradycją, rozmarzała pieśnią, myśl żywiła dziejów swoich powieścią, ognie serdeczne podsyciała niedolą i męką swoją. Macierzą mi jest i panią . . . W niej leżą ojców moich prochy, na niej stały dzieci moich kolebki, nad nią się wznoszą kościołów moich wieżyce, koło niej krążą wspomnienia moje i nadzieje . . . Znasz ją przecie o słońce! Mów o niej światu, mów!

Skapo jej udzielasz swych promieni i nie zawsze plonem jej dajesz dojrzałość, ale od serc jej synów takie blaski na nią były i żary, że stała niegdys w słońcu chwały, że wschodzili na niej wielcy mężowie, a z czynów ich dojrzewały plony wolności i sławy. A potem . . . ach! potem zeszedł i posiew zlego i dojrzał w plon klęski i kary, od którego dziś jeszcze pocierpłymi zgrzytają zębami prawnuki tych, co na zgubny złakomili się owoc . . . Samo widzisz? Powiedz to światu, o słońce! Ach! mów . . .

Powiedz, że przeszłość nasza znieważona, mowa stracona, a szept, pamięć za grzech nam poczytywane, że nadzieja karana jest, jak zbrodnia — wymówienie imienia Ojczyzny, jak bluźnierstwo — oddanie czci jej pamiątkom, jak świętokradztwo . . . Z rzędu żyjących wykreśleni, zmuszeni cudze obracać żarna, po cudzych rozpierzchli kątach, ze starych gniazd wygnani, z praojeowskich dzierżaw wywłaszczeni — oddawna już po wspólnym tylko poznajemy się bólu, zwołujemy sierocego tylko płaczu skargą . . . Wszak patrzysz na to? Powiedz to światu, o słońce. Mów . . . niech wie świat!

A opowiedz także i wszystko, na coś przed wiekami patrzyło: jak pod Lignicą ramię w ramię stanęli potomkowie piastowi i żywym szańcem swych piersi powstrzymali nawalę tatarską — jak pełna gleba kujawska zmieniła się pod Płowcami w krzyżacką krwią przesiąknięte błoto, po którym tryumfalnie brodzili, zaprawione do tułających pielgrzymek, stopy Łokietka, jak na Cecorskiem błonię ofiarnie głowę kładł za Ojczyznę hetman siwy, jak pod Chocimem pierzchał przed krzyżem półksiężyc, jak raźnie ruszył pod Wiedeń mściciel krwi trzech

swego rodu pokoleń. Widziałoś? Wiesz, że to wszystko prawda, o słońce? Mów-że to światu dzisiaj, mów!

A nie same wojenne wspominać czyny. Nie oręż dokonał tej Unii, co wspólnością swobód dwa narody zjednoczyła — nie oręż przywiódł Prusy do stóp opiekuńczego Jagiellonów tronu i podawał jagiellońskim pacholętom ościennych państw korony. Nie pod oręża przymusem zasiadali do obrad ci mężowie, z których obywatelskiej mądrości i cnoty wyłonił się wiekopomny dokument Konstytucyi — i nie z oręża, lecz z miłości synowskiej gwałtem rzucał się Rejtan na próg izby sejmowej... ach! i w rękę konfederatów barskich oręż był już tylko rozpaczliwego protestu narzędziem! Widziało-ś! Pamiętać to powinno-ś, o słońce! Powiedzieć to światu trzeba... Mów!

Ale nie mów, nic nie mów o tych, co chwyciwszy za broń legli pod Maciejowicami, pod Raszynem, pod Grochowem i Ostrołęką, pod Batorzem i Sołowijówką, i u gór Świętokrzyskich podnóża, i w nad-Niemeńskich parowach i w szlacheckich dworach galicyjskich — czy to legli od kuli wroga, czy pod nożem siermiężnej braci. I o tych nie mów, co z pieśnią pobożną na ustach ginęli w Oszmiańskim kościele, lub przy hymnu narodowego dźwiękach na ulicach Warszawy — ani o tych, co marli w więzieniach, konali na szubienicach, padali na śniegi Sybiru, po cudzych cmentarzach składali kości swoje...

Nie! o tych ani słowa nie mów! Męczeński to hufiec wybrańców, w krwi purpurze i sere czystym płomieniu zadośćuczynienie za winy przeszłości niosący... ofiarnicza chorągiew narodu, tak zacieźnymi okryta, jak okrytemi bywały niegdyś pancerne, gdy wiódł je na Szweda Czarniecki... Bóg sam tych niezapomnianych policzył, a i groby ich mówią także za siebie... Ty nic więcej powiedzieć nie zdołasz, o słońce!

Ale mów o nas, którzy przez nich dobrodziejstwem zadośćuczynienia obdarzeni, pokryjomu, cichaczem, na lepszą pracując dołą, uprawiamy zagon dotąd odłogiem pozostawiony... O nas, których jedynym istnienia świadectwem — prześladowanie i ucisk, jedynym życia objawem — słowo... jak pamiątka — ze czcią strzeżone, jak hasło — wiernie z ust do ust podawane, jak pobudka — echem w sercu dzwoniące — o nas, których jedyną bronią odporną — wszystkich serce sojusz bratni, jedynym orężem zaczepnym — wiecznie żywy duch polski... o nas światu mów, słońce!

O nas, którzy w cieniu mogiły przygotowując odrodzenie, wierzymy, że nad głowami dzieci naszych rozbłyśnie świt

wolności — o nas, którzy czując się Narodem, z Ludu Narod uczynić chcemy — o nas, którzy w wierności trwając i służbie, ufamy, że żywymi zostaniemy — o nas mów światu, słońce! Mów! Mów! Niech wie świat o nas, niech pamięta, że jesteśmy! Mów!

Witaj!

I.

Jasny i pogodny dzień zaświtał. Wysławiały go na wszystkie tony wróble, które wcześniej niż zwykle, zleciawszy się na śniadanie, świegotały tak zapamiętale, a z taką radością, jakby od dzisiejszej mianowicie pogody zależało istnienie całego ich rodzaju!

Oddawna zbudził mnie odgłos dzwonka, powtórnie zasnąć nie pozwalał ruch porannej krzątającej aresztantek, upominające głosy dozorców — nie wstawałam przecie, bo pod przymkniętymi powiekami snuły mi się obrazy dawno minionych wydarzeń, postaci dawno pożegnanych ludzi, widoki miejsc, których nie ujrzę już pewno w życiu . . .

Nie miałam zresztą do czego się spieszyć. Skąpo wymierzona, raz na tydzień wydzielaną porcyę umysłowej stawy, spożyłam już była do ostatniego kęska, listu pisać nie miałam dzisiaj prawa, do roboty ręcznej żadnego nie czułam pociągu, a dnia tak wiele było jeszcze przedemną, tak wiele!

Chwytała mnie też czasem za gardło olbrzymia, desperacko ziewająca nuda i dławiała mnie tem zajadlej, że zwykłam była przeczyć jej istnieniu i uragać jej mocy. Czułam, że dziś mnie znowu napadnie, że ja z trudnością bronieć się jej potrafię i pragnąc zatrzymać około siebie jak najdłużej rój płoszących ją widziadeł, nie czułam najmniejszej ochoty ruszyć się z łóżka. W końcu jednak uzuałam, że wstać koniecznie wypada, choćby dlatego jedynie, że, gdy wszystko, co żyło, oddawna już było na nogach, dłuższe wylegiwanie się mogło wyglądać na nadużycie praw „polityki“ — Bóg jeden zresztą wie, jak mało w tym kraju licznych!

Wstałam więc, gwałt sobie zadając niezmierny i leniwie zabrałam się do spełniania codziennych czynności. Trzeba było posłać sobie łóżko, ponieść nieco starań około własnej osoby, przyrzadzić ranny posiłek, lecz wszystko to nie wiele zabrało mi czasu i ohydna nuda, z wyszczerzonymi ziewaniem zębami, już, już dłoń podnosić na mnie zaczęła . . .

A jeszcze, jakby na złość, ustał wokoło ruch wszelki. Aresztantki musiały być przy pracy, dozorey drzemia gdzieś pewno po kątach, dzieci, korzystając z pogody, wyniosły się wszystkie na dziedziniec, wróble nawet niewiadomo, gdzie się podziały . . . Cisza, pustka, wymarło gdzieś do szczytu to nawet, co w więzieniu życiem się nazywa . . . A dzień taki długi jeszcze, tak zapelnąć go trudno!

Chodzić zaczęłam po pokoju, chcąc ruchem fizycznym pobudzić myśl ociężałą . . . Napróżno! Nieposłuszna, zwinawszy skrzydła, drzemała, choć śmiała niegdyś i lotna, bywała mi życia osią, ach! i nieraz pogody jego zwichrzeniem . . . Wzięłam do ręki robotę: monotonia ściegów, zazwyczaj ułatwiająca pracę wyobraźni lub pamięci, wydała mi się dzisiaj nieznośna.

Nie! stanowczo w fatalnem byłam usposobieniu:

Nie bawiła mnie nawet wierna moja samotności towarzyszka, przysłana mi z domu kotka, apetycznie Malinką zwana: puszysty, śnieżnie biały podlotek, zawsze do figlów i do pieszczot gotowy — nie cieszyło mnie nawet słońce, które po długiej nieobecności, w blasku i majestacie płynęło dziś po niebie . . .

Przyszło mi wreszcie na myśl wyjrzeć przez okno, chociaż i tam, co prawda, nie spodziewałam się zobaczyć nic nowego. Wiedziałam, gdzie stoi codziennie prawie czynny wiatrak, gdzie leży nawpół zgniła, przez wiatry potargana więź słomy, wiedziałam niemal, ile drzew bezlistnymi sterczy konarami, ile szarych dachów osłania ściany, wśród których frasobliwy, poziomym zabiegiem oddany żywot pędzą ludzie nieznanymi mi, niemili, nieswoi . . . Ach! to wszystko tak dobrze, aż do znużenia było mi znane!

Lecz dziś nowy przedstawił się oczom moim widok.

Słońce, po wiosennemu już dogrzewające, wywabiło z ziemi isticie wiosenną ruń polnych trawek, mdłych jeszcze i wątłych, ale step — szary wczoraj i nagi — owiany był dzisiaj całym jakby zielonej zasłony przeźroczem . . . świadectwem tej Siły, która w przyrodzie — świętem wiosny, w dziejach — zmartwychwstaniem narodów się objawia!

Witaj więc, Życie! Witaj uśmiechu, zdrętwienie myśli rozprasząjący, witaj obietnico, która bóle duszne uzdrawiasz!

II.

Z pomiędzy snujących się po korytarzu postaci, odzianych w szary drelich aresztantek, prędko nauczyłam się wyróżniać Sonię. Przyszło mi to tem łatwiej, że dyżurną będąc posługaczka, parę razy na dzień ukazywała się „politycznym“, których

cele wychodziły na obsługiwany przez nią korytarz. Ona to zrana, zaraz po szóstej, odchyłała klapę, urządzoną we drzwiach dla ułatwienia komunikacji i pozdrawiając mnie życzeniem dnia dobrego, brała odemnie imbryk, który w chwilę potem przynosiła mi, po sam wrąb „kipszkiem“ napełniony. Nieco później, ona to znowu, w nieodstępem towarzystwie dozorecy, wchodziła do celi i sprzątała ją ze starannością, świadczącą o jak najlepszych jej chęciach. Pozbawiona pieniędzy, wynagradzałam ją za to cukrem, monetą, ciesząc się w więzieniu stale wysokim kursem, udzielałam jej nieco z przysyłanych mi zapasów pożywienia, rzuciłam jej niekiedy uprzejme słowo, gdy zachodziła tego potrzeba, porozumiewałam się z nią spojrzeniem, uśmiechem, ruchem, którego znaczenie w lot chwytano. Wiadomości żadnych ustnie udzielać mi nie mogła, bo nie wolno nam było rozmawiać z sobą; ale gdy przez czas pewien więzienie stało się istną naszą rodziną gospodą, to spoglądała na mnie ze współczuciem, którego szczerłość słodziła mi niejedną chwilę ciężkiego niepokoju, a gdy powód niepokoju ustąpił, ona pierwsza zwiastowała mi dobrą nowinę spojrzeniem, z radością rzucenem w dal, za okno, poza kratą którego swobodne roz poczynało się istnienie . . .

Sympatyę więc okazywała mi Sonia, jak umiała, a i ja lubiłam ją także. Piwne, szeroko otwarte jej źrenice prosto patrzyły mi w oczy, koścista, anemiczną powleczone błądzą, lecz młoda i nie pozbawiona wdzięku twarz jej, łagodny i poczciwy miała wyraz, a gdy mówiąc do niej, wymieniałam jej imię, to blade, szerokie jej usta rozchylał uśmiech dobroduszej wdzięczności. Zwykle bowiem wołano tu tylko na nią: „Służka!“, a gdy zawołano, to tak pokornie i tak zarazem ochoczco odpowiadała: „Ja“, jakby usługiwanie drugim sama uważała za jedyną istnienia swego wymówkę i racyę.

Co mianowicie zaprowadziło Sonię do więzienia, o to nie spytałam ją nigdy . . . Nie mogłam, bo zwierchność, obawiając się snuć „konszachtów“ niewieścich, nie dopuszczała rozmowy z posługaczkami i — nie śmiałam. Z wyrazem łagodności łączył się na twarzy Soni odcień nieprzebolełego jeszcze smutku, uśmiech jej pół-uśmiechem był tylko, przez smutne powściąganym suac wspomnienia . . .

Znacznie później dopiero opowiedziano mi, że zdarzyła się biednej Soni nader pospolita, a zawsze niewymownie smutna historia. Zbałamucona przez niegodziwca, który potem o niej ani o dziecięciu wiedzieć nie chciał, chora, wszelkich środków do życia pozbawiona, usłuchała podszeptów rozpaczy i uduśiła parotygodniowe zaledwie niemowlę. Zwłoki nie ostygły jeszcze,

gdy biedaczka podniosła już ogromny krzyk przerażenia i załości, niemniej przeto wzięta została do więzienia, gdzie zaraz dostawszy tyfusu, długi czas ze śmiercią walczyła. Wyzdrowiała, winie jej przyznano okoliczności łagodzące i biedna dzieciobójczyni odsiadywała teraz karę w więzieniu, gdzie zresztą nie przykrzyła sobie bardzo. Sierotą była, bez rodziny, z dalszych okolic przybyła, nikt na nią nie oczekiwał, nikt nawet nie odwiedzał jej nigdy, tutaj zaś lubiono ją ogólnie za posłuszeństwo i zamilowanie porządku, za sprawność w usłudze, oraz ciche, delikatne obejście, którem się wyróżniała wśród towarzyszek.

Poznanie smutków jej przeszłości nie przeszkodziło mi wcale czuć dla Soni prawdziwą życzliwość i pozdrawiać ją przyjaznym uśmiechem, ilekroć wsunęła ciemną głowę w otwór opuszczonej na chwilę kłapy. Tak obcą się tutaj czułam, tak daleką od wszystkiego, co światem moim było, a ona tak pocziwie garnęła się do mnie!

Takim był wzajemny nasz stosunek, gdy nadeszła Wigilia Bożego Narodzenia. Najsmutniejszy to chyba dzień w roku dla tych, którzy spędzają go zdala od swoich, w przymusowym osamotnieniu, w tęsknych rozmyślaniach o wszystkim, co w życiu, jak złoty sen minęło... A że ja właśnie w podobnym byłam położeniu, więc też smutną się czułam i rozżaloną, i twarz do okna przycisnąwszy, splakanemi tonęłam oczyma w mgłę, pokrywającej nadmorskie one płaszczyzny, poza któremi daleko, ach! daleko, czerniły się sosnowe bory i białaly śniegiem, niby godowym zasłane obrusem, niwy rodzinnej ziemi mojej...

Wtem skrzypnęło coś leciutko... Obróciłam głowę zdziwiona, nie była to bowiem pora ani „kapiątku“, ani obiadu, ani podawania lampy, ani żadnego z tych wydarzeń, które co dzień o tej samej porze, z nieubłaganą powtarzając się systematycznością, służyły za jedyną wskazówkę czasu...

Nie! Była to tylko Sonia. Myślałam, że jej czegoś potrzeba, o coś prosić ma zamiar, że głodna może, lepszego spodziewa się kasha...

— A co, Soniu? — spytałam półgłosem, intonacją tylko dając jej do zrozumienia, że gotowa jestem zadość uczynić jej prośbie.

Ale ona, obejrawszy się trwożliwie, czy nie nadchodzi dozorca, świecąc mi kredowo-białą twarzą w mroku, zalegającym już celę:

— Pani — zaczęła łamaną mową, którą starała się uczynić zrozumiałą dla mnie, nie znającej państwowego języka —

Pani, ja znam, jak to dzisiaj u Polaków... U was państwo i przysługa dzielą się tym chlebem białym, co go wam kościół przysyła... Ja znam... Wy Polka, pani, jedna tutaj... mnie was żal... Ja się o taki chleb postarała... jest u mnie kawałek... dla was, pani...

I wydobywszy z pod fartuszka czyściutką szmatkę płócienną, wyjęła z niej maleńki kawałek opłatka i podała mi tak, jak się go u nas podaje: dla siebie zatrzymując cząsteczkę, którą naszym też obyczajem natychmiast do ust poniosła...

I była to jedyna istota, która tu — w tej kresowej ostoi, w tym domu zemsty nad wszystkim, co trwa w wierności ku Polsce — uczciła mnie dnia tego Ojczyzny mojej zawołaniem, przełamała się ze mną chlebem przymierza i pojednania!..

Witaj więc, Serce!

Witaj, potęgo, która życia słodzisz gorycze, witaj, słodyczy, która siły jesteś kordyałem!

(Dalszy ciąg nastąpi.)



- No. 14. *Dr. Witold Lewicki*: Walka klas. — *Dr. Kazimierz Twardowski*: Filozofia współczesna o nieśmiertelności duszy. — *Ks. Dr. Adam Kopyciński*: Władza państwowa.
- No. 15. *Dr. Witold Lewicki*: Do broni. — *H. S.* Pamiętnik bratańca królewskiego Ks. Stanisława Poniatowskiego. — *Dr. Kazimierz Twardowski*: Metafizyka duszy.
- No. 16. *Dr. Witold Lewicki*: Poezya w polityce. — *Teofil Meruncowicz*: Kwestya upowszechnienia ubezpieczeń w Galicyi. — *M. Wierzbński*: Józef Chamberlain. — *Karol Wróblewski*: Lukrecyusz i nowoczesny pesymizm. — *Pius Twardowski*: 212. rocznica Sobieskiego pod Wiedniem.
- No. 17. *Dr. Witold Lewicki*: Koncentracya. — *Karol Wróblewski*: Renan i jego czytelnicy. — *J. Kreibig*: Pokusy św. Antoniego. — *Z. Gos-tomski*: O zaniku szlachty niemieckiej.
-

Dla P. T. Duchowieństwa i nauczycielstwa obniżamy
prenumeratę do

połowy

to jest kwartalnie 1 złr. 25 ct., miesięcznie 45 ct.



J. C. Hernick

Odlewnia artystyczna, cyzelernia i fabryka wyrobów kruszczowych
we Wiedniu, X. Alxingergasse 1. 35

poleca się do wykonania odlewów pomników, figur, ornamentów, nagrobków etc. z brązu, cynku i innych trwałych kruszczów, podług modeli lub rysunku. — Za wykonanie artystyczne i rzetelne zaręczam, przesyłam kosztorysy, rysunki etc. z całą gotowicią.



Gotowa kolosalna grupa „Helios“ z cynku nadająca się do udekorowania studni i wodotrysku w wielkim ogrodzie lub placu jest tanio do nabycia, fotografie i kosztorys takowej franco.



Pomada „Phönix“

na wystawie higienicznej w Sztutgarcie 1890 odznaczona, jest wedle lekarskiego orzeczenia i tysięcy pism dziekczynnych uznana jako jedyny istniejący, istotnie dobry i nieszkodliwy środek, aby u pań i panów wywołać pełny i bujny porost włosów, usunąć wypadanie jak i łuszczenie się. Wywołuje także u bardzo młodych panów silny porost włosów. Zaręczam za skutek i nieszkodliwość. — Słoik 80 ct. pocztą lub za zaliczką 90 ct.

K. HOPPE

Wien, XIV. Hütteldorferstrasse 81.



Jedyny w Wiedniu polski

SKŁAD TUTEK CYGARETOWYCH, PAPIEROŚNIC etc.
Karoliny Czerwińskiej

I. Liliengasse Nr. 1

poleca swe znane z dobroci wyroby po cenach fabrycznych.